

Przekłady

IFIGENII W TAURYDZIE

GÖTHEGO

W JĘZYKU OJCZYSTYM.

Trzy przekłady Ifigenii w ciągu ostatnich trzydziestu lat dokonane, i dotychczas w rękopiśmie będące, świadczą o znaczeniu tego utworu, jakie do niego przywiązywali ci, którzy w pracach literackich pomijać nie chcieli zasadniczych szczebli ukształcenia estetycznego.

Przegląd trzech tych przekładów tém bardziej jest zajmującym, że każdy z nich ma właściwe sobie, choć odmienne zalety.

W miarę tego jak przy zwiększaniu się środków wyższego ukształcenia w pojęciach literackich publiczności naszej okaże się postęp, obeznanie się z utworami tak wysokiej artystyczności jak Ifigenia Göthego, stanie się potrzebą, i być może, że każdy z tych przekładów, które obecnie mamy przed oczyma, do zaspokojenia téj potrzeby przyłożyć się może.

Najdawniejszy z tych przekładów p. Szabrańskiego, dokonany przed trzydziestu laty, tę ma przedewszystkiém zaletę, że jest pisany wierszem rymowym, dla poezyi polskiej tak właściwym, który tę wiersz w niektórych miejscach, gdzie przedmiot tego wymaga, ma tok liryczny.

Szczególną zaś zasługę przyznać należy tłumaczowi ze względu na czas, w którym praca jego była podjęta; nie ma bowiem wątpliwości, iż gdyby od r. 1832 starano się ukształcić gust publiczności takimi utworami jak Ifigenia, skala sądu literackiego w publiczności naszej byłaby wyższą jak jest dzisiaj.

Zdaje się, iż gdyby kiedy okoliczności pozwoliły na przedstawienie Ifigenii na scenie naszej, przekład p. Szabrańskiego jako do deklamacyi, z powodu wiersza rymowego najprzydatniejszy, mógłby być dogodnie użytym z pewnem przyłożeniem ręki do ostatecznego wykończenia pod względem wersyfikacyi i stylu.

Przekład Paszkowskiego niezawodnie odznacza się zaszczytnie czémś właściwém. Wyborny ten tłumacz Szekspira nie darmo nałamał się z największemi trudnościami, jakie tłumacza spotkać mogą.

Przyswoił też sobie metodę zależącą na wierném oddaniu myśli tokiem mowy swobodnym i żywym.

Polszczyzna jego wyborna, styl w wysokim stopniu naturalny, wiersz nie ugania się za harmonijnością, ale dobrze się czyta; może jest za wiele żywości w tonie, i przez to posągowy spokój utworu nie dosyć uwydatniony.

Przekład ten powinien znaleźć miejsce w wydaniu dzieł autora.

Wreszcie przekład p. Jenikiego odznacza się oprócz bardzo dobrej przedmowy, prawdziwie zadziwiającą wiernością, wiernością nie tylko w samym przekładzie prawie literalnym, ale wiernością w tonie, kolorycie, charakterze, stylu.

Wiersz w zakresie przyjętej metody jest wypracowany i eufoniczny, w lirycznych miejscach udatny, dykcya uszlachetniona i patetyczna, mniej więcej w taki sposób jak w oryginale. Pod względem zewnętrznej jako i wewnętrznej dokładności jest w tym przekładzie coś wzorowego.

Może być, że tak samo jak przekład Tassa bardziej zainteresuje znawców jak ogół publiczności.

W ogólności przedmiot taki jak Ifigenia, i tak traktowany jak to Göthe uczynił; jest to rzecz albo do edukacyi estetycznej albo do amatorstwa poetyckiego należąca.

Niewątpliwie obeznanie się z tym rodzajem artystycznej piękności wiele wpływa na wyrobienie uczucia i sądu estetycznego, ale tylko w pewnych chwilach życia człowieka i życia społeczności można podobnemi utworami skuteczne zajęcie obudzić; nie jest to ta poezya żywa i wieczna, która się dla tego zawsze przyda, że więcej jest

zależną od prawdy wewnętrznej, żywości uczucia i twor-
czości fantazyi, jak od teoryi i poglądów estetycznych.

Nie będzie może dla czytelników bez interesu poró-
wnanie trzech charakterystycznych ustępów w przekła-
dach; o których wzmiankowaliśmy wyżej:

AKT II.

SCENA PIĘRWSZA.

W przekładzie Antoniego J. Szabrawskiego.

OREST. PYLADES.

Orest.

Drogą śmierci idziemy,— a za każdym krokiem
Pociechę czuje dusza w milczeniu głębokiem.
Kiedym ja Appolina prosił, by tajemnie
Te duchy mściwe odpędził odemnie,
Zdawało się, że pewnym uroczystym głosem
Przyrzekł litość nademną, i nad moim losem.
I w świątyni swój siostry co Tauryką włada,
Miał ból zgasić, ból który serce mi przejada,
Teraz spełnia co boskim przyrzekał wyrazem,
Bo boleść moją kończy z życiem razem.
Czuję dłoń boską, na myślach mi ciąży,
I na sercu ją czuję, ściska je najtężej.
O! jak mi lekko będzie w chwili niedalekiej,
Ten piękny promień słońca pożegnać na wieki.
Bo jeśli Atreusza wnuk w swojej rozpacz
Nigdy zwycięstwa już nie zobaczy!
Jeżeli z nieszczęśliwym rodem i ja muszę
Jak bydlę ofiarnicze wyzionąć mą duszę;
Niech więc się stanie!— lepiej u ołtarza stopni;
Bo w siatce umrzeć okropnie,
Kiedy ta wyrzucona zdraźnie
Z rąk pokrewnego-zbójcy na ciało upadnie.
Precz duchy! wypuście mnie wy podziemne mary!
Co za krwią, co za krwawym śladem swęj ofiary,
Za mną i tak na moje gonicie męczarnie,
Jakby węchem tropiące rozpuszczone psiarnie.

Puściecie! ja do was zstąpię w tę otchłań podziemną,
 Dzień nie błysnie nad wami, nie błysnie nademną.
 Piękna zielona ziemia już nie będzie
 Dla larw placem igrzyska — tam ja was, tam wszędzie
 Napotkam, bo tam wszystkich los ręką przemocy
 Powiąże razem w głuchej i odwiecznej nocy.
 Tylko mój Pyladesie! wśród nieszczęść tak wielu,
 Wśród występku wygnania, wierny przyjacielu,
 Do tej ziemi znajomej śmiercią i żałobą.
 Tylko ciebie niechętnie zabieram ja z sobą,
 Zabieram i tak wcześniej! śmierć twa, życie twoje,
 Oto jest, co mnie cieszy lub czego się boję.

Pylades.

Nie, Oreście! ja z tobą, jak tobie się zdaje,
 Jeszcze się nie zabieram w te umarłych kraje:
 Prawda, że droga przerażająca,
 Gwałtem nas w noc straszliwą, w noc okropną wtrąca;
 Ale mnie jeszcze w myśli stawają sposoby,
 Jak powrócić do życia z tej ciężkiej żałoby.
 Nie o śmierci ja myślę, lecz o tém, czy bogi
 Nie zostawiły dla nas innej jeszcze drogi.
 Śmierć, czy jój kto się lęka czy z odwagą czeka,
 Niepohamowana przyjdzie do człowieka.
 Ale ja, choć już ksieni przy ofiarze świetnie
 Włosy do poświęcenia z głowy nam odetnie
 I dłoń swoją podniesie; jeszcze się nie zmienię;
 Bo wtedy nawet nie śmierć, ale wybawienie
 Będzie w myśli méj tylko! — Co bogi przeznaczą,
 Przyjmij potężném sercem — a rozpaczą
 Nie zbliżaj nam nieszczęścia! Niech myśl ci wspomina
 Przrzeczenie Apollina.
 Tam w świątyni u siostry i w rozkoszy czystej
 Znajdziesz pomoc i powrot do ziemi ojczystej.
 Jasne bogów wyrazy, i tylko inaczej
 Uciśniony je sobie i słaby tłumaczy.

Orest.

Wcześniej na moje myśli i niewinne czoło
 Matka ciemną zasłonę zarzucała wkoło;
 Jednak z ognistém sercem i wyniosłem
 Podobny do ojca rostem.
 Moje spojrzenie nieme, jak zgryzota dzika,
 Jój serce przebijało i jój zalotnika.
 Często, kiedy Elektra, smutna i wybladła,
 W długich komnatach samotnie zasiadła,
 A przed nią buchał ogień złoty;
 Biegłem do siostry, biegłem na pieszczoty.

W uściskach— tam jęj zawsze łzy się wylewały;
Jam w nią oczy zdumione zatapiał zmartwiał.
Z jęj ust o naszym ojcu potężnym słyszałem;
I w ten czas, o! jak z ognistym zapałem
Pragnąłem jego lubym cieszyć się obrazem;
Być z nim pod Troją, być z nim w domu razem!
Przyszedł dzień.....

Pylades.

Zamilcz! niech w noc swym głosem, jak grzmotem,
Same duchy piekielne wspominają o tem,
A nam chwilek szczęśliwych przypomnienie złote
Niechaj pomnoży w piersiach i męztwo i cnotę.
Bogi zostawują ludzi na ziemi
Na to, by im służyli cnotami swojemi.
Tak się i z tobą stało! i dla tęg przyczyny
Do ówęg smutnéj umarłych krainy
Nie zstąpiłęg wraz z ojcem.

Orest.

Razem! uczepiony
U szat jego! O czemu! w te podziemne strony
Nie przepadłem z nim razem!

Pylades.

Ztąd widzisz przytomnie,
Że sami bogowie pamiętali o mnie
Przedłużając dni twoje. Bez ciebie, po tobie—
O! cóż z mojęm życiem zrobię!—
Tobą się tylko jednym od dzieciństwa pieścę,
I jak dla ciebie żyję, tak pragnę żyć jeszcze!

Orest.

Wstrzymaj tych słodkich chwilek przypomnienie,
W których znalazłem w twym domu schronienie,
W których ojciec twój do pięknego zawodu
Trzeźwił mnie, trzeźwił listek uwiędły za młodu.
Tyś wtenczas jako lekki ów motyl skrzydlaty,
Chwytający ciemne kwiaty,
Uchwyciłeś za serce moje; i po trosze
Takeś twój ogień, twoje przelewał rozkosze,
Zem zapominał nieszczęście mych pomału,
Z tobą od młodzieńczego porwany zapału.

Pylades.

Odkąd cię kocham, odtąd tak żyję jak wniebie!

Orest.

Powiedz raczég, że odtąd nieszczęście dla ciebie.
Ta moja cała zgryzota w mém łonie,
Że w którekolwiek zabłąkam ustronie,

Jak za tknętym zarazą śmierć za mną się wlecze
I wszędzie w boleść twarz obleka człowiecze.

Pylades.

Ja za tobą za śmiercią goniąc życiem czułem,
Czemuż się twym oddechem dotąd nie zatrąłem.
Czy nie żyję w rozkoszy, czy przyjaźń mi zbrzydła?
A rozkosz i miłość są pióra, są skrzydła
Do wielkich dzieł!....

Orest.

Dzień wielkich! tak, pamiętam chwile,
Gdzie było i dzień i wielkości tyle:
Gdzie wśród gór, dolin, w pośród strumieni,
Z dzikim zwierzem oba zapędzeni,
Z dłoni ogromnej i z piersi mężnych,
Podobni do swych naddziadów potężnych,
W radości pragnęliśmy napotkać się sami
Z potworem albo zbójcami.
Tam to, w wieczornej dobie,
Nad jeziorem rozległym zasiadłszy przy sobie,
Kiedy obszerne wodne kryształły
U ustóp nam się rozbijały,
Z rozkoszą błąkało się oko
Przez świat ten rozciągnięty, roztwarty szeroko!
I w tedy odurzeni wielkością widoku
Porywaliśmy za miecze u boku,
A marzenia o dziełach i o świetnych losach
Świeciły nam jak wkoło gwiazdy po niebiosach.

Pylades.

Omamieniem jest dla duszy wyniosłość
Przeszłość! O te dzieła takby nam urosły,
Jak owe czyny i owe wspomnienia,
I z wiekiem, i przez ziemie i przez pokolenia
Ogłaszane ustami poety z rozkoszą,
Same się w nadzwyczajnej wielkości unoszą;
Jednak głos ten jak piękny, jak pełen uroku!
Gdy wśród cichego wieczornego mroku,
Przy arfie swój młodzieniec szlachetnem tony,
Wielkich ojców zwołuje z przeszłości zgubionej.
Nasze tu każde dzieło w porównaniu z niemi
Pełne trudów, i tylko nikczemne na ziemi.
Bo gonimy za wierzchnią jedynie ozdobą,
Nie spoglądając nawet na drogę przed sobą,
Ani ujęci zdatnym do użycia
Śladem przodków i śladem ziemskiego ich życia.
I w rozległości niepojętej
Cień ich ścigamy, ten cień święty,

Który jak gdyby bogów istota,
Czoło gór depcze w obłoku ze złota.
Ten nędzny, kto się spuszcza, że w dni swych zakresie
Sam lud go kiedyś może do wielkości wzniesie;
Lecz ty podziękuj bogom, bo przez nich się stało,
Żeś tak wczesnie dzieł wielkich dokonał niemało.

Orest.

Komu się z boskiej łaski dostała ta praca,
Że od ziomeków swych wielkie nieszczęście odwraca,
Że rozciąga granice swego panowania
I starych nieprzyjaciół bije lub rozgania:
Ten niech bogom dziękuje; bo oni w tej chwili
Pierwszą mu i ostatnią rozkosz przeznaczyli.
Ale ja! zbójca! — za ich rozkazem
Zamordowałem matkę moją — i razem
Po zemście nic nie widzę, nic przed mojem okiem
Tylko śmierć, za okropnym odwiecznym wyrokiem:
Bo codziennie cały ród Tantala
Wyrok bogów, odwiecznym ciężarem przy wala.
A ja ostatni z rodu, niewinnie i godnie
Nie umrę!

Pylades.

Syn nie cierpi za ojcowskie zbrodnie;
Bo niebo w sprawiedliwym wymiarze,
Złe tylko, albo dobre, nagradza lub karze.
A z jakichbądź rodziców, nigdy na rodzeństwo
Niespada złorzeczenie, lecz błogosławieństwo.

Orest.

Czy tu błogosławieństwo bogów nas spowadza?

Pylades.

Ale zawsze najwyższa ich wola, i władza.

Orest.

Więc tu dla woli bogów mordować nas trzeba?

Pylades.

Znoś cierpliwie, i czekaj co przeznacza nieba.
Bo jeżeli do Delfów, gdzie święta kraina,
Przeniesiesz siostrę Apollina,
Na cześć do szlachetnego, do świętego ludu,
Wtedy za tyle cierpień i trudu,
Złączone bogi tkniętego rozpaczą,
Z rąk jędz piekielnych wyratować raczą;
Nawet tu w świętym gaju już każda się boi
Przystąpić do piersi twojej.

Orest.

Tak przynajmniej mam ciche, spokojne skonanie!

Pylades.

O, ta myśl u mnie nigdy nie postanie!
Lecz co się stało i co wypadnie,
Już rozebrałem dokładnie.
Ja się nie myślę, może-bo widocznie
Za radą bogów wielkie dzieło się rozpocznie;
Może Dianna sobie życzy
Wydobyć się z rąk tej dziczy,
Uciekać od tej krwawej człowieczej ofiary
A na tak wielkie zamiary
Przeznaczeni od niej samój,
Tu pomimowolnie w podwojach stawamy.

Orest.

I mądrze i w szczególnym sposobie
Radę bogów i chęć twą przybliżasz ku sobie.

Pylades.

Czemże jest mądrość ludzka, i cóż po rozumie,
Jeśli z wolą niebieską zgodzić się nie umie.
Często łaska bogów szczęśliwa,
Szlachetnego do trudnych przedsięwzięć przyzywa,
I to mu oddaje,
Co się do wykonania niepodobnóm zdaje:
Ten zwycięży! przecierpi dla bogów i świata!
A sława jest u niego najmiłsza zapłata.

Orest.

Jeżeli mam żyć świetnie tak jak mi przystoi,
O! czemuż bóg z głowy mojej
Nie zdejmie obłąkania, które mnie w tej trwodze
Po śliskiej, po krwią zlanéj drodze
Ciągnie do śmierci.— Czemuż bóg łzami zbłagany
Nie zamknie tej macierzystej rany,
Z której krew strumieniami
Tryska na moje piersi, i wiecznie je płami.

Pylades.

O! uspokój twe myśli i twoją pierś dzielną,
Ty sam dla siebie jesteś furją piekielną.
Pozwól mi tylko myśleć— ja w potrzebie
Do wspólnej pracy przywołam ciebie
I w tedy, jak nam przystało,
Obadwa wykonamy odważnie i śmiało.

Orest.

Ulyssa słyszę w tobie.

Pylades.

Przestań, nie szydź ze mnie.
Na wzór dla siebie, każdy potajemnie

Jednego w swoich piersiach nosi bohatera,
I ten do niebios drogę mu otwiera.
Ja jednak myślę, że tych ludzi
Ani zasadzka hańbi, ani mądrość brudzi,
Których do dzieł odważnych wzywa przeznaczenie.

Orest.

U mnie otwarty męźny, jest w największej cenie.

Pylades.

Jednak od ciebie nigdy nie wymagał rady;
Już rozpocząłem — a sami do zdrady
Pomagają mi nieprzyjaciele.
Dotąd od straży wybadałem wiele:
Wiem — z cudzoziemskiego niewiasta kraju
Lud dziki od krwawego wstrzymuje zwyczaju.
Czyste serce, kadzidło, modły to jedynie
Zanosi bogom — a z dobroci słynie
W pośród przywiązanego do siebie narodu;
Mówią, że ma pochodzić z amazonek rodu,
Że uciekając przed nieszczęściem pokryjomu,
Przytułek w świętym znalazła domu.

Orest.

Lecz dziś władzę najświętszą wytrąca jęj z dłoni
Przytomność występnego, za którym goni
Całe przekleństwo, na wszystkie strony:
Jak noc rozrzucająca szerokie zasłony;
I znów święta chuć mordu i zwyczaj surowy
Przebudza się na nasze nieszczęśliwe głowy.
Dziki król chce nas zabić — a niewiasta jedna
U rozniewanego łaski nie wyjedna.

Pylades.

O! szczęście dla nas, że niewiasta z nami;
Maż — choć najszlachetniejszy pomiędzy mężami,
Skłonny do okrucieństwa ze krwi i z bezprawia,
Z tego, czém się sam brzydzi, prawo ustanawia.
I staje się przez zwyczaj i dzikie zapały
Srogi i prawie nie wyrozumiały.
Niewiasta jednak w jakiejśbądź odmianie,
Przy łagodnym umyśle zawsze pozostanie;
A czy w pomyślniej, czy w ciężkiej dobie,
Możesz być pewny, że pomoże tobie.
Cicho! — nadchodzi. — To ona:
Odejdź — nasze nieszczęście i nasze imiona
Ja tu przed nieznajomą ukryję osobą,
A nim cię ujrzy, wprzód pomówię z tobą.

AKT II.

SCENA PIĘRWSZA.

W przekładzie Józefa Paszkowskiego.

OREST. PYLADES.

Orest.

Idziemy drogą śmierci, przyjacielu:
 Co krok, to większą czuję ciszę w duszy.
 Kiedym gorąco Apollina błagał
 O uwolnienie mię od fatalnego
 Orszaku duchów mścicieli — on słowy
 Pełnemi boskiej prawdy i pociechy
 Zdał mi się pomoc i pokój przyrzekać,
 W świątyni swojej siostry ukochanej,
 Która panuje nad Taurydą. Otóż
 Spełnia się jego przyrzeczenie; z życiem
 Skończyć się mają wszystkie me cierpienia.
 Jak łatwo przyjdzie pożegnać to piękne
 Światło dnia temu, któremu dłoń bogów
 Gniewnie pierś ściska i krępuje umysł.
 Tak tedy żaden z wnuków Atreusza
 Nie znajdzie w bitwie zaszczytnego zgonu;
 I jam tak samo jak przodkowie moi
 Na rzeź skazany, jak bydlę ofiarne.
 Niechże się stanie zadość przeznaczeniu!
 Lepiej tu przed tym świętym paść ołtarzem,
 Jak gdzieś w samotnym kącie, gdzie ci siłła
 Z bliska pokrewny zastawia morderca.
 Dopókim jednak przy życiu, odstąpcie
 Odemnie, o! wy podziemne potęgi,
 Które w trop za mną, jak psy rozjuszony
 Dążąc, wietrzycie krew moją. Odstąpcie
 Odemnie, wkrótce zstąpię w wasze państwo.
 Światło dnia patrzeć nie powinno na was
 I na mnie; piękny zielony kobierzec
 Ziemi, nie dla larw został rozścielony.
 Zejdziem się wkrótce w podziemiach: na wieki
 Złączy nas owdzie czarnej nocy berko.
 O ciebie tylko drzę mój Pyladesie,
 Niewinny winy mojej towarzyszu!
 Jakżeby nie rad zabrać cię ze sobą
 W tę smutną podróż, z której nikt nie wraca;

Twoje to życie lub śmierć budzi we mnie
Niepokojącą nadzieję i trwogę.

Pylades.

Nie jestem jeszcze tak jak ty Oreście
Przygotowany, zstąpić w ten kraj cieniów;
Rozważam jeszcze, czyby wśród tych groźnych
Manowców, które zdają się prowadzić
W dziedzinę nocy, nie dało się znaleźć
Drogi do życia. Nie myślę o śmierci;
Oglądam się wciąż, czyli gdzie bogowie
Szczęśnej ucieczki nam nie otwierają.
Śmierć, przewidziana czy nie przewidziana,
Zawsze przychodzi. Gdy kapłanka wzniesie
Dłoń dla objęcia moich włosów, jeszcze
I wtedy nawet nasze ocalenie
Będzie jedyną myślą moją. Otrząś
Się z tej rozpacz; zwątpienie powiększa
Niebezpieczeństwo. Apollo ci przyrzekł
W świątyni siostry pociechę i pomoc.
Nie, słowa bogów nie są dwóznacznymi;
Tylko w nich rozpacz skrytą myśli szuka.

Orest.

Niestety, wcześniej około mój głowy
Czarną zasłonę, matka rozciągnęła.
I tak wzrastałem; wzrastałem na obraz
Ojca mojego i wzrok mój ponury
Gorzkim codziennie był wyrzutem dla niej
I jej kochanka. Jak często ujrzawszy
Siostrę Elektrę samotnie siedzącą
Przy ogniu, w rogu samotnej komnaty,
Z ściśnionem sercem tuliłem się do niej,
I rzewnie widząc ją płaczącą, niemy
Wzrok w nią wlepiłem.— Wtedy ona wiele
Rozповідаła mi o moim ojcu:
Jakżem go pragnął ujrzeć, być z nim razem
Pod Troją, albo widzieć go z powrotem.
Przyszedł dzień.

Pylades.

O! milcz! niech o tej godzinie
Piekielne w nocy rozmawiają duchy!
My w we wspomnieniach pięknych czasów czerpmy
Nową do zadań bohaterskich siłę.
Bogowie do swych usług na tej ziemi
Nieskazitelnym ludzi potrzebują.
Rachują oni na ciebie— dla tego
Nie dali cię za towarzysza ojcu,
Gdy ten niechętnie zstępował w otchłanie.

Orest.

Obym był jego uchwycił się szaty
I z nim wraz zstąpił!

Pylades.

Ci co zachowali

Ciebie, tém samém o mnie mieli pieczę:
Cóżby się bowiem było zemną stało,
Gdybyś ty nie żył, Ořeście, ty, z którym
I dla którego od pierwszych lat moich
Wyłącznie żyję i żyć pragnę nadal.

Orest.

Nie przypominaj mi owych dni błogich,
Kiedy mi dom twój przytułek otwierał,
Kiedy twój ojciec roztropnie i tkliwie
Na wpół zwarzonym zajmował się kwiatem;
Kiedyś ty zawsze żwawy i swobodny,
Jak motyl co dzień igrał koło tego
Smutnego kwiatu, i pełnością życia
Swojego, tyle umiał na mnie wpływać,
Żem tracąc pamięć méj doli, porwany
Wirem młodości, szalał razem z tobą.

Pylades.

Ja żyć zacząłem, zaczawszy cię kochać.

Orest.

Wtedy się moja zaczęła niedola:
Powiedz, a powiesz prawdę. Toć jest właśnie
Najfatalniejszym w mojem przeznaczeniu,
Że jako nędzarz dotknięty zarazą,
Noszę w mém łonie ból i jad ukryty;
Że gdziebądź w zdrowém ukażę się miejscu,
Zaraz wkoło mnie najczerszowiejsze twarze
Zdradzają zaród powolnego zgonu.

Pylades.

Gdyby twój oddech był zatruwający,
Jabym tą śmiercią najpierwszy był umarł.
Nie jestem jednak dotychczas jak zawsze
Pełen otuchy i męztwa?—A męztwo
I miłość—są to przyjacielu żagwie
Do wielkich czynów.

Orest.

Wielkie czyny?—prawda,

Śniliśmy o nich, przypominam sobie,
W on czas, kiedyśmy w ślad dzikiego zwierza
Zbiegali razem góry i doliny,

Mając nadzieję kiedyś nieodrodnie
Od wielkich przodków maczugą i mieczem
Gromić potwory i zbójców; kiedyśmy
Potém wieczorem oparci o siebie
Siedzieli, milcząc nad brzegami morza,
A u stóp naszych tuż, lekko wzburzone
Igrały fale, i świat tak rozległe
Otwierał się przed oczyma naszymi;
O! wtedy nieraz chwytałyśmy oręż,
I przyszłe czyny bez liku wkoło nas
Wybłyskiwały jak gwiazdy wśród nocy.

Pylades.

Bez granic jest to, do czego się dusza
Kwapi za młodu. Radziłyśmy spełnić
Od razu każdy czyn wielki, od razu
Podnieść go do téj potęgi, do jakiej
Dochodzi z czasem dopiero, przeszedłszy
Przez różne kraje, przez kilka pokoleń,
W ustach poetów ciągle powiększany.
Pięknie brzmią dzieła naszych poprzedników,
Kiedy je w cichym cieniu spoczywając
Chwytałyśmy w siebie wespół z dźwiękiem lutni,
A nasze sprawy są jak i ich niegdyś
Mozolném tylko, marném wysileniem!
Gonimy to, co przed nami ucieka,
Nie baczym drogi, którą postępujemy,
I ledwie widzimy wkoło siebie ślady
Ziemskiego bytu i żywota przodków.
Dążymy zawsze tylko za ich cieniem,
Który w oddali na złotych obłokach
Wspaniale wieńczy wierzchołki gór. Za nic
Mam tego, który sam się mniema takim,
Jakimby może świat go kiedyś uznać;
Lecz ty młodzieńcze dziękuj nieśmiertelnym,
Że wcześniej tyle zdziałali przez ciebie.

Orest.

Niech im dziękuje ten, komu pozwolą
Czynem od swoich złą odwrócić dół,
Państwo rozszerzyć, zapewnić granice,
I dawnych wrogów zetrzeć lub odegnąć;
Niech im dziękuje! — bo mu w podział dali
Pierwszą uciechę życia i ostatnią.
Mnie przeznaczyli oni na oprawcę,
Na matkobójcę! i sromotnie karząc
Za czyn sromotny, wtrącili mnie w przepaść.
Wierzaj mi — jest to los Tantalą domu,

I ja ostatni nie mogłem niewinnie,
Pocziwie skończyć.

Pylades.

Bogowie nie karzą
Synów i wnuków za ojców występki.
Ty albo dobry, każdy odpowiednią
Zasługom swoim unosi zapłatę.
Otrzymujemy w spadku po rodzicach
Błogosławieństwo, bynajmniej zaś klątwę.

Orest.

Przywiodłóż nas tu ich błogosławieństwo?

Pylades.

Wyższa przynajmniej nieśmiertelnych wola.

Orest.

Toż więc ich wolą żąda naszej zguby?

Pylades.

Czyń co ci każą i oczekuj końca.
Jeżeli zdołasz ztąd Appolinowi
Sprowadzić siostrę— wtedy święta para
Złączona w Delfach, gdzie ją czci lud wierny,
Rozciągnie łaskę nad tobą i wyrwieć
Z rąk bóstw podziemnych. Już w tym świętym gaju
Żadne z nich nie śmie cię ścigać.

Orest.

Przynajmniej

Będę miał przeto spokojne skonanie.

Pylades.

Inaczéj mniemam i nie lekkomyślnie
Wytłumaczyłem i złożyłem w duchu
To, co się stało, z tém co ma nastąpić.
Może oddawna już w wyrokach bogów
Dojrzewa wielkie to dzieło, którego
Wykonawcami być mamy. Dyanna
Czuje zapewne odrazę od tego
Niegościnnego brzegu barbarzyńców
I od ich ofiar z niewinnej krwi ludzkiej.
Nam poruczono uwolnić ją od nich,
I oto dziwnym zbiegiem trafu stoim
Przemocą u tych podwojów stawieni.

Orest.

Nader subtelnie i roztropnie łączysz
Wyroki bogów z życzeniami swemi.

Pylades.

Czemże jest ludzka roztropność, jeżeli
Nie wgląda pilnie w wolę tych co owdzie
Władną nad nami?—Bogowie zazwyczaj
Do ciężkich przepraw powołują ludzi,
Na których ciężą przestępstwa; wkładają
Na nich zadania, które się nam zdają
Niepodobnemi do skutecznienia.
Ale bohater zwycięża przeszkody
I pokutując służy nieśmiertelnym
I światu, który ze czcią nań spogląda.

Orest.

Jeżeli mam żyć i działać, to niechże
Bogowie pierwiej uśmierzą w mój głowie
Ten zawrót— który po śliskiej, oblanej
Krwiaj matki ścieszce, ciągnie mię w kraj śmierci.
Niechaj łaskawie osuszają to źródło,
Które z ran matki wytryskając ku mnie,
Na wieczne czasy mnie kała!

Pylades.

Oczekuj

Tego spokojniój. Ty sam złe powiększasz
I obowiązek jędz spełniasz na sobie.
Pozwól mnie myśleć— pozostań na stronie!
Kiedy czyn wspólnych sił wymagać będzie,
Wtedy cię wezmę i wtedy obadwa
Z rozważném mężstwem pospieszym do celu.

Orest.

Słyszę, zda mi się Ulissesa.

Pylades.

Nie szydź!

Każdy powinien obrać bohatera,
Którego przykład naśladować ściśle,
Toruje sobie drogę do Olimpu.
Wyznaję zresztą, że mi się nie zdaje,
Aby roztropność i zręczność hańbiła
Kogoś, co śmiało przedsięwzięte czyny.

Orest.

Czczę ludzi śmiałość łączących z prawością.

Pylades.

Przetom też rady od ciebie nie żądał,
Już jeden naprzód krok jest uczyniony;
Udało mi się wyciągnąć na język
Naszych strażników. Wiem, że jakaś obca,

Boskich przymiotów niewiasta, oddawna
 Krwawy ów zwyczaj trzyma w zawieszeniu;
 Przynosi ona bogom czyste serce,
 Wonie i modły. Powszechnie ją wielbią;
 Mniemają że jest z rodu Amazonek,
 Ze zbiegła od nich, by wielkich ujść nieszczęść.

Orest.

Zagodny jój wpływ stracił pewnie siłę,
 Odkąd się do niej zbliżył winowajca,
 Okropną jak noc klątwą przywalony;
 Święta krwi żądza rozpęta niebawem
 Na naszą zgubę ów dawny obyczaj.
 W dzikości króla, leży nieochybnosc
 Naszego zgonu. Zdołaj nas ocalić
 Jedną niewiastą, kiedy on wre gniewem?

Pylades.

Dziękujmy niebu, że to jest niewiasta!
 Mężczyzna bowiem, choćby był najlepszym,
 Przyzwyczajają się z czasem do okrucieństw,
 I ostatecznie przyjmuje za prawo
 To, czego w gruncie nie cierpi; z narowu
 Staje się twardym i nie do poznania.
 Niewiasta stale zachowuje jeden
 Sposób myślenia. Jak w złem tak i w dobrem,
 Bezpieczniej możesz liczyć na nią. Ale
 Otóż i ona; pozostaw nas samych.
 Nie zaraz nasze odkryję jój miana,
 Ani na ślepo los nasz jój powierzę.
 Idź przyjacielu! Zanim ci z kolei
 Przyjdzie z nią mówić, zobaczę się z tobą.

Ustęp drugi.

AKT III.

SCENA DRUGA.

W przekładzie Antoniego J. Szabrańskiego.

Orest

(przebudza się z obłąkania i przychodzi do zmysłów).

Jeden jeszcze podaj mi na moje cierpienia,
 Jeden letejskiej wody puhar wybawienia,

Wnet życie w piersiach pęknie, i wraz ze mnie
 Duch mój ulotny popłynie tajemnie
 Tam! z źródłem niepamięci na swe przeznaczenie;
 Tam! do was w mgły odwieczne! wy umarłych cienie!
 Wy pozwólcie—niech waszym pokojem
 Syn ziemi raz odetchnie po nieszczęściu swoim.
 Jakież to przez gałęzie szmer szumiący słyszę?
 I zgiełk się przytłumiony przedziera w tę ciszę!
 To oni! już przedemną stanęli przytomnie,
 I by gościa odwiedzić, zbliżają się do mnie.
 Lecz mnie świetne osoby zajmują najwięcej,
 W jedno grono zebrane jakby ród książęcy.
 Starce, młodzi, niewiasty, męże, zgromadzeni
 Bogom równi, podobni do znikomych cieni,
 Do błądzących postaci! Oni! wiem gdzie jestem!
 Przodkowie moi! Widzę Atreusz z Tyestem
 Idą przy poufatej rozmowie i miłej,
 Dzieci ich igrające wkoło otoczyły.
 Więc znikła między niemi nienawiść bez końca!
 Więc tu zemsta tak gaśnie jak i promień słońca!
 Więc i ja z niemi mogę i mnie pozwolono
 Wstąpić razem w to świetne, uroczyste grono.
 O! witajcie ojcowie cierpień i przekleństw!
 Orest was tu pozdrawia, ostatni z rodzeństwa.
 Coście sami zasieli, on zebrał przy żniwie,
 I przekleństwem dotknięty, ginie nieszczęśliwie;
 Jednak snadniej tu ciężar ponosić z żałobą.
 O! weźcie mnie w to koło—o! weźcie mnie z sobą!
 Wielbię cię Atreuszu, i ciebie Tyeście,
 Wszystkie tu serca z zemsty ostygły nareście.
 O! pokażcie mi ojca w tém gronie wspaniałem,
 Bo ja go w mojem życiu raz tylko widziałem.
 Tyś mój ojciec! mój ojciec, o wdzięczny widoku!
 I ty matkę mą, widzę, prowadzisz przy boku;
 Ona ci dłoń podaje—nie odpychasz dłoni,
 A więc i Orest może przystąpić tu do niej
 I powiedzieć:—patrz! syn twój! patrzcie syn wasz stoi,
 Pozdrówcie go oboje, bo tak wam przystoi.
 Na ziemi nam cierpiącym długo i niemiło,
 Pocałowanie śmierci pozdrowieniem było.
 Teraz szczęście znajduję pomiędzy cieniami.
 A wy się odzywacie: „witaj!—i pójdz z nami”!
 Prowadźcie mnie przed starca, niech jak sobie życzę,
 Ujrzę przodka naszego szanowne oblicze.
 I gdzież jest ten mąż, który u jednego stołu
 W radzie bogów zasiadał z bogami pospołu.
 Milczenie! odwracacie twarze, cóż się stało?
 Czy męczarnia rozrywa to nadludzkie ciało,

Biada mi! w dzielnych piersiach wszystkowładne duchy,
Zgryzotę miedzianemi zakuły łańcuchy.

AKT III.

SCENA DRUGA.

W przekładzie Józefa Paszkowskiego.

Orest

(budząc się jak gdyby ze snu i podnosząc głowę).

Jeszcze raz! jeszcze jeden mi podajcie
Rzeźwiący, chłodny haust letejskiej wody!
Już kurcz żywota ustał w łonie mojem;
Już duch mój z gorzkich wspomnień oczyszczony
Swobodnie płynie ku wam, o wy cienie
Zamieszkujące ciemnej mgły królestwo.
Pozwólcie aby znękany syn ziemi,
W spokoju waszym czerpał pokrzepienie!
Cóż to za szelest, coś to za gwar słyszę?
Owdzie w pół cieniu drzew, w gęstwinie liści?—
Snadź to mieszkańcy tutejsi już spieszą
Na powitanie nowego przychodnia.
Cóż to za orszak wspaniały, poważny,
Jak zgromadzenie rodziny królewskiej
Zbiera się owdzie? Jaka w tym orszaku
Zgoda panuje! Niewiasty i męże,
Starzy i młodzi razem postępują.
Jest coś boskiego w ich ruchu. To oni:
Tak, to są moi przodkowie.— Z Tyestem
Pod rękę idąc rozmawia Atreusz,
Chłopcy wesoło igrają wkoło nich.
Żadnaż nieprzyjaźń niema tu już miejsca?
Zgasał nienawiść razem z słońca blaskiem?
Więc i ja liczę na dobre przyjęcie,
I śmiało mogę wstąpić w wasze koło.—
Wielcy ojcowie! wita was Orest,
Ostatni z mężów rodu waszego;
Goście zasieli, to on uzbierał:
Kłatwą brzemienny wstąpił on tu.
Lecz wszelkie brzemień lżej się tu nosi:
Przyjmcie go, przyjmcie do swego grona!
Cześć ci Atreju— cześć ci Tyeście,
Wszelkiej niechęci znikł tu już ślad.

Wskażcie mi ojca—ojca, którego
Raz tylko jeden w życiu widziałem!
Tyżeś to, o mój ojcie szanowny?
I Kliemnestra idzie przy tobie?
Jeśli jój woino rękę ci podać,
To i mnie wolno przystąpić do niej,
I rzec jój: matko! oto twój syn!—
Witajcie syna! Bądźcie mu radzi.
Na ziemi w naszym domu powitać,
Znaczyło tyle, co pchnąć sztyletem;
Lecz starożytne plemię Tantala
Zmieniło zwyczaj w dziedzinie nocy.
Wy mnie witacie czule i szczerze,
Wy mi ramiona swe otwieracie!
Wiedźcie mnie, wiedźcie do mego dziada!
Gdzież jest ten starzec? niech go zobaczę,
Tego sławnego, wielkiego męża,
Który w obradach bogów zasiadał.
Wy się wahacie, wy odwracacie
Wasze oblicza? Cóż to jest? Ach!
Miałżeby cierpieć ten wiekopomny
Rówieśnik bogów? biada mi biada!
Wszechmocni silnie do piersi jego
Przykuli łańcuch okropnych mąk.

Ustęp trzeci.

—
AKT IV.

SCENA PIĄTA.

Przekład Antoniego J. Szabrańskiego.

Ifigenia (sama).

Trzeba mu być posłuszną, bo widzę nad nami
Wisi niebezpieczeństwo! a my tylko sami.
Ale ach! los mój przyszły i ta chwila bliska
Coraz mi serce—coraz bardziej ściska;
A więc skromna nadzieja już zaginie we mnie!
Którą dotąd w mych piersiach karmiłam tajemnie!
Wciąż wiecznym jest przekleństwo! więc niespodziewanie
I ciężko uderzony! nigdyż nie powstanie
Ród ten z nieszczęść i bólu? Wszystko tu przepadnie,
I rozkosz tak na ziemi chwytająca zdradnie,

I życie, i uczucie, i życzeń gromada,
 Tylko jedno przekleństwo nigdy nie przepada!
 Tak zamknięta od losów rodzinnych zdaleka,
 Wyglądam, czekam, lecz się niedoczekam
 Ani dłoń czysta, ani serce czyste,
 By z zbrodni oswobodzić me progi ojczyste.
 Ledwie brat mój z rozpacz w mych oczach przytomnie
 Cudem zbawiony, ledwie przybliża się do mnie
 Okręt oczekiwany z takim upragnieniem,
 Natychmiast los kamienny, żelaznem ramieniem
 Uderzył, i to żąda bym posąg bogini,
 Powierzone mi bóstwo uniosła z świątyni,
 I bym zdradziła męża, który na swą ziemi
 Przyjął mnie i obdarzył łaskami swojemi.
 Oby tylko złość piersi moich nie napadła!
 Oby owych Tytanów nienawiść zjadła
 Przeciwno wam niebianie! nigdy mego ciała
 Sępa szponami nie rozrywała.
 O! samo serce siebie nie obroni,
 Podajcie biednej wsparcie z swą potężną dłoń,
 Zlitujcie się nademną — zlitujcie się, proszę
 Nad swym własnym obrazem, który w piersiach noszę.
 Dawnej piosnki mam dźwięki w mém uchu przytomne.
 Chciałabym ją zapomnieć, ale nie zapomnę.
 Tę piosnkę Parki śpiewały w tej chwili,
 Kiedy bogowie Tantara stracili
 W przepaść bezdenną od złotego stołu;
 One z strąconym cierpiały pospołu.
 Wtedy im ognie pierś paliły srogą,
 Z której buchał głos brząający dzikością i trwogą;
 Ale nas w domu dzieci w łagodnym sposobie
 Bawiła nią piastunka, przypominam sobie:

Ród ludzki drży w trwodze
 Przed swemi bogami,
 Bo oni władają
 Ziemiemi losami,
 I mogą ich użyć
 Jak tylko chcą sami.

Drży bardziej ten, kogo
 Dłoń boska wyniosła
 Nad skały, opoki:
 Bogate tam krzesła,
 Stół stoi wysoki.

Niech zwada powstanie.
 Ze wstydem wraz goście

Z wysoka w otchłanie
Strąceni potężnie.
O próżno aż na dnie
Czekają tam więźnie,
Co dla nich wypadnie.

Lecz bogi przy złocie,
Przy ucztach swych wiecznie,
I stopy wspaniałe
Ze skały na skałę
Stawiają bezpiecznie.
I dla nich z przepaści
Tak bucha dym czarny
Z zabitych olbrzymów,
Jak z dłoni ofiarniej
Leciuchna woń dymów.

Na ród ten shańbiony,
Wzrok błogosławiony
Już z niebios nie spada,
Bo nie chcą już bogi
Napotkać w potomkach
Tęj twarzy pradziada,
Tak lubiej i drogiej.

Tak Parki śpiewają.
Wśród nocnej pieczary
Przykuty wygnaniec
Wysłuchał ich stary.
Pomnijcie potomni
Na bogów i kary!

AKT IV.

SCENA PIĄTA.

Przekład Józefa Paszkowskiego.

Ifigenia (sama).

Muszę go słuchać, bo niebezpieczeństwo
Najbliższych moich, nagli mię. Lecz własny
Los mój niestety, jakże jest bolesnym?
Mamże się wyrzec tej cichej nadziei,
Którą w samotném żywiłam ukryciu?

Maż więc ta kłatwa trwać wiecznie, i czyliż
 Ród mój skazany na to, aby nigdy
 Z nędz się nie podniósł? Wszak wszystko się kończy!
 Najwyższe szczęście, najpełniejsze życie
 Musi się z czasem wyczerpać, dla czegoż
 Kłatwaby miała być niewyczerpaną?
 Toż więc napróżno trzymana w tym kraju
 I od nędz domu mego oddzielona,
 Spodziewałam się kiedyś czystą ręką
 I z czystym sercem móz z niego zdjąć plamę!
 Zaledwie brat mój szybko i cudownie
 Z okrutnej plagi uleczony został,
 W moich objęciach zaledwie oddawna
 Oczekiwany, upragniony okręt
 Przybył mnie ponieść do portu ojczyzny,
 Natychmiast smutna konieczność, podwójny
 Ciężar kamienną wkłada na mnie dłońią:
 Każe mi porwać święty, powierzony
 Pieczy mój posąg i zdradzić człowieka,
 Któremu winnam byt i zachowanie.
 Bogdaj mi w końcu nie przyszło złorzeczyć,
 Bogdajby dawna Tytanów nienawiść
 Ku wam, potężni władcy na Olimpie,
 Sępiemi swemi szpony nie ujęła
 Mój słabój piersi! Zbawcie mię i zbawcie
 W duszy mój obraz wasz niepokalany.

Znowu mi w uszach rozlega się owa
 Stara pieśń, z dawna w pamięci zatarta,
 Pieśń — którą Parki ponuro śpiewały
 W on czas, gdy Tantal spadł z krzesła złotego:
 Cierpiały one nad jego upadkiem;
 Śpiew ich był groźny — piers ich gniewem tchnęła.
 Nucila mi ją i rodzeństwu memu
 Mamka w dzieciństwie, baczniem jęj słuchała.

Niech ludzki ród, bogów
 Potęgi się lęka!
 Bo oni wszechwładztwo
 Piastują w swych dłoniach
 I wolno im władzy
 Używać jak chcą.

Lecz niech się podwójnie
 Potęgi ich lęka,
 Kto do nich się wzniósł!
 Bo złote ich stoły
 Na szczytach gór stoją
 Wśród urwisk i chmur.

Gdy zwada się wkradnie,
Wraz goście śmiertelni
Spadają z wysoka
W głąb pieczar bezdennych,
I długo i próżno
Spętani w pomroku
Czekają na sąd.

Lecz oni zostają
Tymczasem jak pierwój
U złotych swych stołów,
Wśród wiecznych swych uczt.
Przechodzą swobodnie
Z gór jednych na drugie:
Z podziemnych przepaści
Wyziewa im oddech
Z strąconych Tytanów
Mgłę lekką, jak z ofiar
Kurzącą się woń!

I wzrok ich ze wstrętem
Odwraca się, stroni
Od całych pokoleń;
By w rysach potomków
Nie ujrzał wymownych
I miłych mu niegdyś
Pradziada ich cech!

Tak Parki śpiewały.
Zamknięty w ciemnicach
Wynaniec sędziwy
Posłyszał ich pieśń:
Wspomina o dzieciach
I wnukach, i głowę,
Opuszcza na pierś!

